№ 84

ROZMAITOŚCI
Warszawskie.

NIEDZIELA 23 PAŹDZIERNIKA. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1836.

FANELLY.

POWIEŚĆ Z NAJNOWSZEGO DZIEŁA PANI DESBORDES-VALMORE,

pod tytułem.

SALON LADY BETTY.

(Dokończenie.)

Rivalto, który nadaremnie nadstawiał ucho na turkot czekanego powozu, przybliżył się do zgromionej Fanelly.

— Fanelly! — rzekł głosem stałym i z namysłem; — niechaj na przyszłość nie będzie wzmianki o tych obawach, o tych delikatnościach kobiecych; nie wierzę w nie. Długo przychylałem się do nich, gdyż wymagał tego mój interes. Dosyć tego. Odtąd, niechaj nigdy przeszłość ani wspominaną ani wyrzucaną nie będzie: jestem panem twojego majątku; chceszże los mój podzielać?

— Majątku...! cóż-to znaczy? — los podzielać...! z kim...? z mężem Teresity? — w obłąkaniu wyrzekła Fanelly.

— Ona już teraz jest niczem...... już jej nie masz, powiadam ci. Czyż mnie nie słyszysz? Co było robić z płaczką, zazdrośnicą? — Ciągle przez nią ścigany, zagrożony, że mnie co chwila odkryje, cóż miałem czynić? — nierozsądna, sama siebie zgubiła: chciała mówić, ja jej też milczeć kazałem. Niechaj-to będzie ostatni raz o niej mowa. Teraz my się z sobą rozprawmy; Odpowiadaj, chcesz-że jechać ze mną do Włoch? Znudziła mi się Anglija, a dosyć cię jeszcze kocham, abym cię zabrał z sobą.

— Umrzeć! umrzeć! — zawołała Fanelly, rozpacznie ręce załamując i ze zgrozą odwracając oczy.

— Skończmy więc, — odpowiedział Rivalto bez najmniejszego wzruszenia. — Jesteś podła, zasłużyłaś na swój los. Dajże mi jeszcze ten dyjament, abym go dorzucił do innych; jest-to jeden z najpiękniejszych; nie słusznie byłoby, żebym go stracił. — I to mówiąc, odpinał bogatą sprzączkę, którą przepięty był szalik Fanelly.

— Tak mnie dręczyć! — krzyczała przelękniona, — ach! i to jeszcze..... dla marnych błyskotek....

Rivalto nic nie rzekł na to, lecz pochwyciwszy Fanelly, chciał stłumić w jej ustach krzyk przyzywający pomocy, który nagle w niebo przesłała. Lecz nie potrzebował tego uczynić: zemdlała w dzikich jego ręku.

Rivalto przywiązał bezwładną Fanelly własnym jej szalikiem do starego wiązu, gdzie zamyślał ją zostawić, nie chcąc jej odbierać życia.

Lecz o tej godzinie, gdy wszystko jest tajemnicą w lasach, po łąkach i polach, gdy wszystko, co je zamieszkuje, smutnym i poważnym oddaje się wrażeniom, las ten, tak samotny na pozór, i już prawie okryty zasłoną zmroku, nie zupełnie był jeszcze pustym: przebiegało go kilku łowców. Słabo dosłyszeli konających krzyków kobiety, a mężczyzna, który nagle się ukazał pomiędzy drzewami, nie tak gę-

stemi w tem miejscu, zmusił Włocha podnieść głowę; czerwonawy odcień nieba, od którego odstrzeliwało to niespodziewane zjawisko, ciemne, jak sylweta, wprowadził zrazu Rivalta w mniemanie, iż to mógł być Kalpetti, na którego coprędzej zawołał po włosku: odebrał w odpowiedzi energiczne przekleństwo angielskie; i w pośpiechu rzucenia się na świadka natrętnego, poślizgnął się na wilgotnym mchu i upadł.

— Książę Rivalto! — krzykał łowiec; — wyczytałem duszę twoją z twarzy! mamy pomiędzy sobą dług do spłacenia. Chociaż już nieco ciemno, mam nadzieję, że jeszcze dojrzę kwit mój podpisać. Wstawaj więc i kończmy.

Rivalto, którego bystry wzrok dojrzał pomiędzy drzewami w dalekości Kalpettego prowadzącego konia, chybki jak wąż, upełznął znaczny kawał po gęstej trawie, potem nagle zerwawszy się, zniknął w zaroślach lotem błyskawicy, i tylko tentent dwóch rumaków pędzących cwałem, doszedł ucha zdziwionego Hawerdala. Odwrócił się i postrzegł Bingleja, który nadszedłszy niesłyszany, ukrywał na swem łonie twarz umarłej prawie Fanelly.

— Podły! nie śmiał mi stawić czoła! — rzekł. Potem dodał po chwili: — Czy myślisz, że ona jeszcze żyje?

Bingley, dysząc pod własnem wzruszeniem i ciężarem młodej piękności, zawsze jeszcze omdlałej, nic nie odpowiedział, i poszedł do domu, gdzie ją oddał w ręce swej matki i jej kobiet.

Tegoż jeszcze wieczora Hawerdale, który nie chciał ani widzieć Fanelly, ani przepędzić nawet nocy pod jednym z nią dachem, odjechał, przesławszy Binglejowi tę krótką prośbę, pochylając się ku niemu z konia:

— »Ponieważ napisano, Bingleju, że o ciebie odbijać się mają wszystkie ciosy mojego losu, czuwaj nad tą kobietą, nie opuszczaj jej, dopóki nie wyzdrowieje; potem przyjedź do Francyi, gdzie czekać na ciebie będę. Tam będziesz mi potrzebny, wszędzie będziesz mi potrzebny! Lecz we Francyi, podobnie jak wszędzie, przysiąż, że nigdy nie przypomnisz mi tego imienia, które z życia mego wymazać pragnę.«

— Nigdy o niem nie wspomnę, — lakonicznie odpowiedział Bingley, ściskając go za rękę.

IV.

Jako dwaj prawdziwi Anglicy, Hawerdale i Bingley ujrzawszy się znowu, ani jednem słowem nie wznowili boleśnego wspomnienia o Fanelly. Rozciągnęli nad niem zimną i nieprzeniknioną zasłonę, której końce każdy trzymał mocno ściśnione, a żadnego nie wzięła niebezpieczna chętka uchylenia jej. Obaj w milczeniu dźwigali ów ciężar boleści.

Lecz ani Paryż, ani jego uroki, wrzawa, złudzenia, nie mogły wycisnąć śladu żywego zajęcia na skamieniałem niejako życiu młodego Hawerdala. Wszystko co widział, wszystko czego się dotykał, zdawało mu się być w głaz zamienione. Pamięć jego opustoszała, zgorzała niejako, nie miała ani jednego echa przeszłości; znudzenie, niewidzialne i pożercze znudzenie, wiło się wszędzie, bezprzestannie, w około jego młodości, jego dostatków; wszędzie, gdzie tylko przechodził Hawerdale, wyziewało dech swój wyniszczający. Jad jego więdlił wszystkie kwiaty jego życia, całą przyszłość zatruwał swoją rozpaczną goryczą. Ach! cała jego przyszłość miała być również okropną!

Bingley czekał napróżno owej drugiej przyszłości, o której niegdyś przyjaciel jego marzył w gorączkowem obłąkaniu zazdrośnej dumy. Zamiar ten nie mógł wykluć się ze swego zarodu i wzrosnąć. Dusza zbyt była dziewiczą; podobnież jak indyjska wdowa, rozciągnęła się na stosie, aby przejść bez zmazy do lepszej krainy. Piękność Hawerdala niszczała, osłonięta całunem grobowym. Kobiety z zadziwieniem na niego patrzały, gdyż osłupiałe jego spojrzenia żadnej nie miały giętkości. W każdej kobiecie zdawało mu się widzieć szyderczy portret Fanelly; nienawidził je wszystkie, jak gdyby podstęp jakowy. Bingley jednakże wszędzie ciągnął go z sobą, a on wszędzie się ciągnąć dozwalał. Przytomny był, sam o tem nie wiedząc, wszystkim uroczystościom życia, widowiskom rozmaitego rodzaju, balom, koncertom, konnym gonitwom, iluminacyjom i hucznym zabawom wielkiego narodu. Za pomocą pysznych swych koni, bogatego powozu i

Bingleja, zdawał się rzucać pomiędzy wszystkie uciechy, aby być szczęśliwym, aby wszystko widzieć. Widząc go, pytano: »I cóż-to za jeden?«

— Jest-to syn jedyny Ambasadora angielskiego; biedny młodzieniec, jakże siedzi nieruchomy wśród herbów ojcowskich, w obec swoich milijonów!

— Musi być bardzo chory!

— Może dla tego taką ma minę, jak gdyby się nadzwyczajnie bawił z nami!

— Nie nasza jednak w tem wina! — mówili inni, wyszydzając jego oziębłość.

Inni, nie przypuszczając, aby można cierpieć posiadając milijony, przestawali na wzruszeniu ramionami.

Lecz, aby tak życie przebywać, zwątlały, odarty ze wszelkich uczuć, nie umiał zapewne dawać?

I owszem, dawał bardzo wiele, ciągle rozdawał; lecz cóż? złoto, piasek: wielka mi rzecz!

— I za cóż mu dziękowano? — Ach! jeżli kto chce, aby dziękczynienie usłyszał, aby odżył, niechaj powie: — Oddaj mi krew twoją, wszystką krew twoją, a oto niczem nieskażony włosek Fanelly. — Ach! dotknąć się raz jeszcze świeżych i niewinnych ust Fanelly!.... Któż ugasi to najgorętsze serca jego pragnienie?

Co zaś do użytku złota, powiem tylko słów kilka:

Zimny, niemy, czarno odziany, jak gdyby sam po sobie żałobę nosił; rozjadły, iż usłyszał w eleganckiem gronie: Co-to za piękny mężczyzna! przebiegał samotny pola Elizejskie, pola okropne, dla duszy zupełnie opuszczonej; zatrzymał się przerażony, spoglądając przed sobą, poza siebie; było to życie! wszędzie życie! było tak od czasów niepamiętnych, i w długie jeszcze trwać będzie lata! Gdyby przynajmniej mógł nie wiedzieć, że jeszcze żyje, kiedy to życiem się nazywa!

— Panie! ach! Panie!... — odezwał się starzec zgrzybiały, który, postrzegłszy go nieruchomego na koniu, ośmielił się doń przybliżyć.

Machinalnym ruchem sięgnął po woreczek, otworzył go, dał pieniądze żebrakowi.

Pospieszne żegnania i niezrozumiane jakieś szemranie, zwróciły oczy jego na żebraka: była-to szanowna głowa promieniąca radością. Zdziwił się Hawerdale. Starzec przelękniony tem bystrem i nieruchomem spojrzeniem, podniósł rękę, w której drżał jeszcze pieniądz złoty, i rzekł: Pan się pewno omyliłeś, może nie to chciałeś mi dać?

Było w tym zwrocie coś rozdzierającego, przez samo wysilenie, które żebraka kosztował. Było-to proste i szybkie dodawanie ośmdziesięciu lat nędzy, którego próba okazywała: *poczciwość*.

Gorzkie usta młodzieńca rozjaśnił uśmiech; łza..... pierwsza od dawna, zakręciła się w jego oku, upaść nie mogąc, a złagodzony głos jego znalazł uprzejmy wyraz dla żebraka.

— Czyż nie ma we Francyi domów przytułku, w którychby przyjmowano ludzi w twoim wieku.

— Ach są! — odpowiedział starzec. — Są wygodne domy i szpitale, w których tak ciepło w zimie! lecz tam nie przyjmują razem mężczyzny i kobiety; od dziesięciu lat mam już wiek potrzebny do przyjęcia, a nie mogę się namyśleć na to szczęście. *Jej*by tam nie było, a tak krótko będziemy jeszcze razem, iż pomimo wszystkiego, chleb ten zdawałby się bardzo gorzkim. Wolę żebrać, bo *ją* przynajmniej co wieczór widzę.

— Pozostań więc z nią, — rzekł Hawerdale wzruszony; — pozostańcie do śmierci razem, kiedyście przez tak długi czas zrozumieć się umieli! biorę na siebie waszą przyszłość bez *rozdziału*. — Dotrzymał słowa.

W kilka dni po tym pospolitym wypadku Hawerdale opuścił nagle okno, gdzie stał pogrążony w głębokiem dumaniu, stanął przed Binglejem rysującym przy stoliku, wlepił w niego niewysłowione spojrzenie, tak długie, tak smutne, iż Bingley podał mu rękę, nazywając go jak niegdyś: *Larry!* To słodkie imię wieku dziecinnego było jedynie zdolne wyrazić niedostateczną, strapioną czułość Bingleja, który znowu zaczął rysować, sam nie wiedząc co czyni. Ręka Hawerdala potężnie wsparła się na jego ramieniu, i zmusiła go powtórnie się obrócić; i znowu, po tem samem spojrzeniu, które dziwne kryło w sobie zapytanie, rzekł zwolna:

— Gdybym się z nią ożenił, Bingleju?

Zadrżał Bingley, zgromiony temi niespodziewanemi wyrazy, które bladością twarz jego powlokły; poczem działając jako człowiek i przyjaciel:

— Ożenić! — odpowiedział, — z kim?..... czy dobrze słyszałem? wybacz, Larry, bo i ja niekiedy śnię na jawie.

— Gdybym się z nią ożenił, Bingleju? — odezwał się znowu Hawerdale, nieruchomy, jak człowiek biorący niezachwiane przedsięwzięcie.

— Co! z nią, zgubioną w oczach Anglii! co! z nią, przywiedzioną bez powrotu do nędzy, przez sprzedaż dóbr swoich, których niegodny Rivalto pozostanie zapewne spokojnym posiadaczem; bo gdzież szukać tego nędznika? bez dowodów, aby go prawnie ścigać! A potem cała przeszłość, te wszystkie nagłe lecz niczem nienagrodzone błędy...! Ależ Hawerdalu, przywołaj na nowo gniew swój i dozwól sobie powiedzieć.....

— Zgubiona...! przywiedziona do nędzy....! Wówczas, Bingleju, gdybym się z nią ożenił?

Bingley powstał, przebiegł nawzajem Hawerdala spojrzeniem niewysłowionego smutku, i stłumionym wyrzekł głosem:

— Umarła!

— To dobrze....! I ja także, Bingleju.

ŻYWY-UMARŁY.

ZDARZENIE PRAWDZIWE

z pamiętników pewnego angielskiego lekarza.

Niebawem miała uderzyć czwarta, a ja do mojej prelekcyi nie byłem jeszcze przygotowany. Upał był niezmierny, powietrze parne groziło burzą; czułem się mdłym i niespokojnym, i jakieś niezwykłe przejmowało mię drażnienie nerwów. Przez ciąg zeszłego tygodnia nie miałem ani jednej chwili spokojnej, wielu niebezpiecznie chorych, których stan wymagał nieustannej staranności, wzywało mię do siebie. Szczegulniej jeden z nich, podpora licznej rodziny, wielce mię niepokoił i najżywsze obudzał we mnie współczucie. W takiem usposobieniu umysłu wsiadłem do powozu, w chęci udania się do sali prelekcyj publicznych, gdy wtem oddano mi niezapieczętowany bilecik. Otwieram go co prędzej, i wyczytuję, że nieszczęśliwy H*, który mię tak mocno obchodził, umarł. Wiadomość ta dotknęła mię głęboko. Zaledwie godzina temu, jak go ostatni raz widziałem, a postrzegłszy widoczne polepszenie się jego zdrowia, ośmieliłem się był zrobić jakiś cień nadziei rodzinie nieszczęśliwego... Ale niestety! nadzieja ta trwała zbyt krótko, a jam nawet nie spodziewał się tak rychło być zawiedzionym!

Aby pojąć ów głęboki, gorący udział, jakim jest lekarz dla niektórych swoich cierpiących przejęty, trzeba tego samemu doświadczyć. Udział ten niezawisłym bywa od jego osobistych skłonności; równie obcy jak i przyjaciel obudzić go może. W takim przypadku nie ma się na względzie chorego, lecz chorobę. Może nikt tak dalece jak ja nie posunął tego uczucia; owa odpowiedzialność, którą częstokroć mimowolnie przyjmujemy na siebie; owo usiłowanie otrzymania pomyślnego skutku tam, gdzie niepodobieństwo zachodzi; owa niespokojność serca, z jaką oczekujemy tych-to chwil przesilenia, które zmieniając charakter choroby, pomnażają lub zmniejszają natężenie onej; owo zwątpienie, które się w nas wzmaga w chwili okazania się symptomatów, odbierających ozdrowienia nadzieję, a najbardziej ów ostatni bolesny obowiązek lekarza, gdy musi oświadczyć krewnym, uwodzącym się jakąkolwiek nadzieją, że sztuka nic tu nie zdoła, że wszystkie wyczerpane środki; każde z tych uczuć było nową i okropną dla mnie męczarnią. Długi czas w skrytości usiłowałem zwalczyć to, co za słabość poczytywałem w sobie; lecz nigdy przezwyciężyć się nie mógłem, a stan mój tak się dalece pogorszył, że jak nieszczęścia jakiego lękałem się być wezwanym do kogoś bardzo chorego. Z tego można osądzić, jakie wrażenie uczyniła na mnie ta świeżo odebrana wiadomość. Cios tem dotkliwszy był dla mnie, że nie miałem nawet pociechy przewidzieć tego nieszczęścia, i przygotować rodzinę chorego do zniesienia okropnej boleści... Trzymając w ręku papier, w który wlepiłem oczy, wpadłem w jakieś machinalne otrętwienie, i dopiero na głos mego woźnicy, pytającego mię po raz trzeci, gdzie ma jechać, przyszedłem do przytomności. Po chwili namysłu, albowiem myśli moje w zupełnem były rozpierzchnieniu, odpowiedziałem: »Do Kolegijum.«

(Dokończenie nastąpi.)